

DZIENNIK WILEŃSKI

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Dodatek kulturalno-literacki

Jak zginął Franciszek Godlewski Epizod z powstania styczniowego

Pułkownik Jeziorański zwołał radę wojenną. Zaproszeni oficerowie, nie zwlekając, stawili się przed pułkownikiem i zajęli miejsca przy ognisku. Przybył stary Śmiechowski, który swoich „bugrów” z pod Grójca przyprowadził, szef sztabu, Tomasz Winnicki, dusza całego oddziału rotmistrz Józef Miniewski, porucznik Godlewski i kilku innych oficerów.

Jeziorański targał swą krótko strzyżoną brodę, spoglądał w rozłożoną przed sobą mapkę i głową kręcił.

— Tu niema innej rady — zakonkludował, — po jakiego diabła będziemy się włóczyli z lasu do lasu?! Broni niewiele, amunicji brak, trza więc jej na Moskalach poszukać.

— Racja Naczelniku — ozwał się stary Śmiechowski — moje bugry nie zleknią się zielonych mundurów. Bierz ich diabli! — „bugrami” nazywał swoich żołnierzy.

— Rawa niedaleko, — mówił Jeziorański, — załoga niezbyt liczna. Nas jest pięciuset, ich o połowę mniej.

— Spróbować nie zawadzi — wtrącił szef Winnicki, — jednak muszę zauważyć, że mamy zaledwie 154 sztuk palnej i to lichej broni, przytem żołnierz nasz niedoświadczony, nieobeznany dobrze z robieniem tą bronią, podczas gdy załoga w Rawie składa się ze samych starych wygów.

— Furda! — burknął rotmistrz Miniewski, — nie taki diabeł straszny jak go malują! Ot, przed tygodniem, w szesnastce koni, wpadliśmy do Grójca i przepędziliśmy dwudziestokilku kozaków na cztery wiatry.

Jeziorański siedział zamyślony i nie odrywając oczu od mapy, machinalnie dorzucał do ognia zeschłe gałązki sosnowe. W obozie panowała cisza. Ognie dogasały, a wokoło nich pokotem legła powstańcza wiara, śpiąc twardo po nującym, całodziennym marszu. Słychać było jeno nawoływanie straży nocnych i chrapanie śpiących powstańców.

Naczelnik zwrócił się do siedzącego w milczeniu porucznika Godlewskiego:

— Cóż Waćpan myślisz o tem Panie Franciszku? Jesteś z tych stron rodem, znasz ludzi — stosunki — co?

— Ja, Naczelniku — Godlewski zarumienił się jak panna. — Nie chciałem wtrącać swoich trzech groszy, gdy radzą ludzie starsi, doświadczeni oficerowie. Lecz, gdy Naczelnik pyta mnie raczy, to powiem, co czuję i myślę.

— Proszę! Proszę!

Godlewski powstał z miejsca: — To wstyd dla nas, byśmy się dłużej wahać mieli — rzekł twardo. — Dwa tygodnie upływa od chwili powstania, a myśmy dotąd prawie nic nie zdziałali. To znaczy nasz oddział, gdyż inni, w pamiętną noc styczniową, z gołymi rękami rzucili się

na Moskale. Dlatego mówię — idźmy na Moskale! Mam przecucie, że wszystko się uda.

Śmiechowski i Miniewski poparli go gorąco.

— Pójdźmy — rzekł Naczelnik, — aut — aut! Jutro wydam rozkazy.

Rozeszli się na spoczynek. Nazajutrz popołudniu ruszyli w pochód ku Rawie, nie wiedząc o tem, że znalazł się szpieg, zdrajca, który uprzedził Moskale o zamierzonym napadzie. Uprzedzona Moskwa uszykowała się przed miastem, uśypawszy rodzaj wału, celem odparcia pierwszego ataku powstańców. Niewiele jej było, — rota piechoty, kilkunastu żandarmów i niespełna sotnia kozaków.

Jeziorański żwawo posuwał się ku Rawie. Na dwie wiorsty przed miastem dano mu znać, że Moskwa oczekuje go w bojowej gotowości. Pułkownik wysłał kawalerję, by okrążywszy Rawę uważała bacznie, czy nieprzyjacielowi nie przybędą posiłki od strony Białej i Skierniewic, sam z resztą oddziału szedł bitym gościńcem prosto na miasto. Na jego rozkaz, strzelcy polscy, rozrzucając się w łańcuch tyraljerski, rozpoczęli rżęsiły ogień. Z nasypu odpowiedzieli im wystrzały karabinowe.

Po kilku salwach, kosynierzy, z głośnym: „hurra” rzucili się ku stanowiskom Moskale. Godlewski z szablą w dłoni biegł na ich czele. Powitały ich kule, — lecz po tych strzałach Moskale, zwątpiwszy snąc o utrzymaniu się za wałem, zrejterowali ku miastu. Kosynierze gnali za nimi. Piechota rosyjska i żandarmi wpadli do koszar, kozacy myśląc jedynie o ratowaniu siebie, w szalonym galopie przebiegli miasto i uszli przeciwną stroną.

Ciemna noc już była gdy kolumna powstańcza ukazała się przed koszarą. Przywitał ich formalny grad kul, z okien i dymników dachów się sypiący. Kilkunastu powstańców powaliło się na ziemię. Jeziorański zrozumiał, że o oparowaniu koszar wstępnym bojem mowy być nie może. Zażądał od ściągających

się ze wszech stron mieszkańców Rawy dostarczenia mu słomy i smoły. Mieszczanie wykonali w momencie rozkazy pułkownika. Teraz kosynierze poskręcając słomę, maczali ją w smole i zapalali, jednak dostępu do koszar bronił bezustanny ogień karabinów. Kilku odważniejszych skoczyło naprzód, w zamiarze rzucenia smolaków na dach, lecz celne wystrzały jęgrów każdego śmiałka kładły trupem.

Rozpacz ogarniała Naczelnika Jeziorańskiego i jego oficerów.

— Czyż nas Bóg przeklął? — wybuchnął pułkownik. — Nawet tej garści lisów nie zdołamy wykurzyć z jamy?! — Przed pułkownikiem stanął Franciszek Godlewski. Twarz jego pałała uniesieniem bojowym, szablę nerwowo w dłoni ścisnął, płomień był w jego mowie.

— Pułkowniku! konia dla mnie i słomy okłót! Ja podpalę koszary.

Jeziorański zeskoczył z konia. — Bierz go i idź w Imię Boga! Nie pora dziś oszczędzać krwi dla ukochanej Matki!

Godlewski porwał kosę, nasadził na nią zapalony snop słomy, dosiadł konia i pędem ruszył ku koszarom. Z okien gruchnęła salwa. Kilka kul trafiło w płonącą słomę, aż zgrzytnęło żelazce kosy. Godlewski nietknięty, stanął w strzemiionach i cisnął słomę na dach domu. Zawrócił konia i nie bacząc na gwizdzące kule, wracał do swoich. Opatrzność, zda się, czuwała nad nim, — ni jedna kula go nie tknęła.

Witali go grzmiącymi okrzykami. Jeziorański przyskoczył ku niemu, i ścisnął go serdecznie.

— Nic mi się nie stało pułkowniku — nawet koń nie draśnięty — mówił Godlewski oddychając ciężko — jeno kąpiąc ze słomy smoła trochę mi rękę sparzyła. A smolak zrobił swoje. Na dachu nie było śniegu — wilgotne wprowadzie, lecz stare gonty, zajęły się z suchym trzaskiem. Cała krawędź dachu buchnęła płomieniem.

Kilku żołnierzy rosyjskich, przedo-

stawszy się otworami strychu na dach, posuwało się ostrożnie po nim, by stłumić ogień w samym zarodku.

— Wał w sukinsynów — zakrzyknął szef Winnicki — wał, kto w Boga wierzy! — Huknęły karabiny i dwururki — kilka ciał ludzkich stoczyło się z dachu na ziemię. Płomień rozszerzał się coraz bardziej, jaskrawe, złowrogie języki sięgały muru, lecz zamknięci w koszarach żołdaci słyszeć nie chcieli o złożeniu broni.

— Panie pułkowniku — zawołał któryś ze starszych mieszczan — nic im w ten sposób nie zrobicie! Ja znam te koszary. Dach spłonie, lecz powała się nie zapadnie! To mocne mury! — Jeziorański sam sobie zdawał sprawę z tego, że walka zbyt długo się przeciąga. Odsiecz mogła Moskalom nadejść każdej chwili. — postanowił więc skończyć z nimi za każdą cenę.

— Kosynierzy — krzyknął, — Do ataku broń! Mości Godlewski prowadź!

Godlewski wyskoczył przed front i wywinał szablą. — Naprzód! — Moskale, nie mogąc znieść piekielnego gorąca, otwarli okna i ustawili się w każdym z nich, strzelali na oślep. Kosynierzy dopadli koszar i rzucili się ku oknom, lecz tu oczekiwały ich najeżone bagnety. Próżno dźgali kosami — sprawni jęgrzy z łatwością parowali każde pchnięcie. Godlewski sformował kilkunastu kosynierów w jedną gromadkę i stanął na ich czele.

— Za mną wiara! a uważajcie — huknął. — Odstąpił kilka kroków od okna, poczem z całym rozmachem rzucił się wprost na najeżone bagnety. Sześć lub siedem bagnatów utonęło w jego piersi, żołdaci formalnie podnieśli go na nich, lecz kosynierzy skorzystawszy z tej chwili, rzucili się ku oknu i odtrącając żołdatów rękami i kosami, wdarli się do wnętrza. W gęstych kłębach dymu, wśród pożogi, wszczęła się rzeź bezpamiętna. Kto z żołdatów nie uszedł, ten szedł w tyka, lub padał pod cięciami kos. Koszary były jobyte.

Przed oblicze Naczelnika przyniesiono skrwawiony trup porucznika Godlewskiego. Rozwinięto sztandar z białym orłem, powstańcy bronią oddali honory trupowi bohatera.

— Powiada historia — rzekł pułkownik Jeziorański wzruszonym głosem — iż Winklerda wydała Helwetów ziemia. A, oto widzicie, iż porucznik Godlewski, by utorować swoim drogę do zwycięstwa, nie wahał się pójść za jego przykładem.

TADEUSZ ZUBRZYCKI

WITOLD ŚWIETNICKI

Preludjum deszczowe

Stary park, obudzony wiernych psów szczekaniem szumi, jak bies, co zerwał się nagle z łańcucha. Schmuriała nad drzewami groźna zawierucha, ociąga się z ucieczką i męczy drzew łkaniem. A noc ciemna, przepastna jak otchłań twoich źrenic, Strugi lez zawieruchy ciemną chce wyżenić.

Nic to, że gdzieś za ciszą naszego pokoju są światy inne jeszcze i dziwniejsze może..

— jak chcesz, królowna będziesz, porwana przez Dołę, co zdobył cie na własność rycerską krwią w boju. —

Zamknij oczy i słuchaj, jak strugi deszczowe długą prowadzą z ziemią tej nocy rozmowę.

Daj grosz
na L.O.P.P.

Armje powietrzne mocarstw

O olbrzymim znaczeniu samolotów, jako broni zarówno ofensywnej jak i defensywnej, przekonała nas ostatnia wielka wojna. Toż w r. 1918 na wszystkich frontach walczyło ponad dziesięć tysięcy samolotów!

Co więcej, zdaniem wybitnego stratega, francuskiego generała *Douhet*, — armia powietrzna winna sama, w ciągu paru dni, zdecydować w przyszłej wojnie o zwycięstwie.

Nic dziwnego zatem, że wszystkie wielkie mocarstwa pracują intensywnie nad rozbudową lotnictwa wojennego, ulepszając nieustannie typy samolotów, aby nie dać się prześcignąć swym sąsiadom, a w przyszłości może ewentualnym wrogom.

Jaki jest stan lotnictwa wojskowego w poszczególnych państwach, o tem można wyrobić sobie pewne zdanie na podstawie dat oficjalnych, przedłożonych Konferencji rozbrojeniowej. Czy daty te są ściśle i autentyczne, — to inna sprawa, której tu rozstrząsać nie będziemy.

A więc na czele kroczy Francja z 2200 samolotami i budżetem 2 miliardów franków.

Drugie miejsce zajmują Stany Zjednoczone Ameryki Północnej: 1800 samolotów, budżet 2.7 miliardów franków.

Następnie idzie Japonia: 1600 samolotów, budżet 1.6 miliardów franków, Włochy: 1600 samolotów, budżet 1.2 miliardów fr. i Anglia: 1500 samolotów, budżet 2.3 miliardów franków, a wreszcie Sowiety: 700 samolotów.

Cyfrы te jednak są względne i nie mogą w żadnym razie służyć jako materiał porównawczy. Każde państwo bowiem prowadzi na punkcie lotnictwa swoją własną, odrębną politykę, w myśl której konstruuje się specjalnie pewne typy samolotów, przeznaczonych do celów ofensywnych lub wręcz przeciwnie, do wojny obronnej, a to zależnie od położenia danego państwa, jego posiadłości zamorskich i t. p. Są wreszcie państwa, które nie pronosząc się wyraźnie w jednym czy drugim kierunku, zmuszone są dla własnego bezpieczeństwa utrzymywać równie silną armię powietrzną defensywną jak ofensywną.

Tej ostatniej zasadzie hołduje przede wszystkim Francja. — W obecnej chwili całe lotnictwo francuskie znajduje się w stadium kompletnej, gruntownej przebudowy. Doskonałe samoloty myśliwskie *Nieuport-62* zaopatrzone zostaną w motory z kompresorem, dzięki czemu przewyższą w swej szybkości podobne aparaty włoskie i angielskie, (*Fiat CR. 30* i *Hawker Fury*) mogące rozwinąć szybkość do 350 kilometrów na godzinę.

Obok tego posiada Francja cały szereg samolotów lżejszych (*Amiot, Breguet 421*), dalej samoloty typu *Potez 25*, zdolne załadować około 800 kg. bomb, i wreszcie potężne samoloty *Lioré & Olivier*, czteromotorowe, zdolne zabrać ze sobą tysiąc kg. bomb i przebyć przestrzeń 1000 kilometrów.

Przy tem wszystkim rozporządza Francja doborowym, pierwszorzędnym materiałem ludzkim, znakomicie wyszkolonym, ofiarnym, pracującym systematycznie, bez krzykliwej reklamy.

Zupełnie inny typ przedstawia lotnictwo angielskie, a to zgodnie z za-

sadniczą ideą przewodnią polityki angielskiej, zmierzającą do zabezpieczenia Londynu przed ewentualnym atakiem z powietrza, oraz do zapewnienia i utrzymania łączności między metropolią, a koloniami.

Dlatego przy budowie aparatów kładzie się tam największy nacisk na możliwość osiągnięcia maxim. szybkości. Faktycznie też angielskie aparaty myśliwskie „*Hawker Fury*“ zdolne są przekroczyć nawet szybkość 350 klm./godz., a ostatnio zbudowane *Super-Fury* nawet 400 klm./godz. przy pełnej załodze.

Również i samoloty bombardujące rozwijają dużą szybkość (290 km/godz.) natomiast cały ich ładunek bomb nie przekracza 300 kg.

Jaką wagę przywiązują Anglicy do obrony stolicy, świadczy o tem najwymowniej fakt, iż do służby tej należy blisko 700 samolotów, w tem wszystkie myśliwskie w liczbie dwustu.

Osobną, poważną rubrykę stanowią hydroplany, te prawdziwe krążowniki powietrzne typu „*Blackburn*“, „*Vickers*“ i „*Short*“, stacjonowane po wszystkich morzach brytyjskiego imperium, a uzbrojone w armaty 37 mm.

Wreszcie wspomnieć należy o samolotach typu *Vickers-Victoria*, stanowiących unikat na tem polu. Samoloty te przeznaczone są do szybkiego transportu wojska do kolonii. O ich olbrzymiej wartości świadczy fakt, że jakiś rok temu na dziewięciu samolotach tego typu przetransportowano w ciągu paru godzin sześćuset żołnierzy z bronią i bagażem z Kairo do Iraku.

Lotnictwo włoskie znajduje się w stadium gorączkowego, olbrzymiego rozwoju. A cała jego rozbudowa stoi

pod hasłem stworzenia armji powietrznej, zdolnej do podjęcia akcji zaczepnej.

Stosunkowo jak najmniejsza różnorodność typów, a jaknajwiększa ilość aparatów jedntgo typu, — to jest dewiza lotnictwa włoskiego.

Zgodnie z zasadniczym założeniem akcji ofensywnej kładzie się główny nacisk na samoloty bombardujące. A więc rozmaite typy *Caproni 74, 701, 702, 75*, dalej *Breda* (ładunek od 600 do 1400 kg. bomb), — następnie potężne hydroplany *Savoia 55*, zdolne zabrać ładunek 1000 kg. bomb na odległość 500 kilometrów. I wreszcie trzy potwory powietrzne, jakim równych nie posiada żadne inne państwo: *Caproni 905 B*, o sile 7000 koni i ładunku 12000 kg. bomb, oraz dwa aparaty *DO X*, każdy o sile 7200 koni, zakupione od niemieckiego konstruktora Dorniera. *DO X* jest hydroplanem długości 40 mtr., o rozpiętości skrzydeł 50 mtr., zdolnym unieść ładunek 20 ton.

Włoskie aparaty myśliwskie *CR 30* zdolne są rozwinąć szybkość do 350 klm./godz.

Długość wybrzeży morskich i niewystarczająca ilość baz okrętowych wycisnęły swoje piętno na lotnictwie Stanów Zjednoczonych A. P. Główny nacisk kładzie się tam na budowę hydroplanów o możliwie dalekim zasięgu działania, dalej lekkich, a szybkich samolotów bombardujących, oraz okrętów-matek dla hydroplanów, *Saratoga* i *Lexington*, to największe na świecie okręty tego typu i najlepiej technicznie wyposażone.

Zobaczmy wreszcie, jak przedsta-

wia się lotnictwo u naszych najbliższych sąsiadów ze wschodu i z zachodu.

O lotnictwie sowieckim — poza oficjalnymi datami zakomunikowanymi Konferencji rozbrojeniowej, niewiele więcej wiadomo. Gdy jednak program „piatiletki“ przewiduje olbrzymią rozbudowę lotnictwa, zatem słusnie można przypuszczać, że flota powietrzna Sowieta już dawno przekroczyła oficjalną cyfrę 700 samolotów. A faktem jest, że już obecnie Sowiety — jedyne państwo na świecie — zdolne są ustawić pod rząd pięćdziesiąt samolotów typu *A. N. II. 22*, każdy o pięciu motorach.

Co się tyczy Niemiec, to jak wiadomo, Traktat Wersalski zabrania im wyrobu i posiadania jakichkolwiek samolotów wojennych W teorii... W praktyce bowiem sprawa wygląda nieco inaczej: Lotnictwo cywilne niemieckie posiada samolot „*Heinkel 70*“, mogący rozwinąć szybkość przeciętną 365 kilometrów na godzinę, przy obciążeniu tysiąc kg.! A więc jest to samolot szybszy od wszelkich samolotów myśliwskich innych państw. Przekształcenie go w samolot wojskowy jest kwestją paru godzin: karabin maszynowy, ładunek bomb — i sprawa załatwiona.

Tożsamo można powiedzieć i o *Junkersach 52*, a zwłaszcza o olbrzymim *Junkersie 38*, pełniącym służbę na linii Berlin — Londyn. Niemal zupełnie identyczny typ, *G. 38* zakupiła Japonia u prof. Junkersa i na podstawie nabytej licencji produkuje tesame *Junkersy* u siebie jako aparaty bojowe.

I wreszcie wspomnieć trzeba o lekkim samolocie jednoosobowym *D XVII* wyrabianym przez zakłady Fokera... w Holandji, a używanym powszechnie w Niemczech jako awionetka sportowa.

(R)

Dziewięć wieków sztuki angielskiej

Dziewięć wieków sztuki angielskiej ma zobrażować wystawa, odbywająca się obecnie w Burlington House, gdzie mieści się Królewska Akademia malarstwa.

Epokę przed podbojem normandzkim reprezentują miniaturowe rękopiśmienne, dalsze średniowiecze — poza manuskryptami i pewną ilością sprzętów — jeeden jedyny obraz, malowany na drzewie tryptyk, odkryty niedawno w Thornham Parva w hrabstwie Suffolk i wypożyczony przez tamtejszy kościół. Przedstawia on ukrzyżowanego Chrystusa i cztery postaci świętych, między niemi Matkę Boską. Pochodzi wedle opinii historyków sztuki z pierwszej połowy w. XIV (ok. 1330). Razem ze ściennym malowidłem z Opackta Westminsterskiego, które zapewne powstało pod koniec XIII w., i wspaniałym angielskim tryptykiem „*Życie Matki Boskiej*“, będącym własnością Muzeum Cluny w Paryżu (również pocz. XIV w.) dowodzi ten zabytek, że w Anglii w tym czasie istniała wysoko stojąca szkoła malarska.

Zamieszki tego i następnego stulecia przerwały jej dalszy rozwój. Epokę wojny stuletniej i wojny Dwóch Róż reprezentują jedynie sprzęty i przedmioty użytku domowego, np. makaty. Obrazy pojawiają się w XVI w., ale są to dzieła obcych mistrzów, którzy tworzyli na ziemi angielskiej. Za Henryka VIII przebywał na dworze Holbein, w w. XVII Karol I patronował Rubensowi i Van Dyckowi, później

działali w Anglii dwaj Niemcy, Westfalczyk Lely i z Lubeki pochodzący Kneller.

Dość trafnie postąpiono, że całą tę twórczość, w gruncie rzeczy obcą, potraktowano na wystawie dość pobieżnie, natomiast zaś postarano się o wcale obfity zasób miniatur z w. XVI i XVII. U kolebki tej szkoły stoi Holbein, ale należą do niej wyłącznie rodowici Anglicy — od Hilliarda, Olivera, Flatmana i Coopera do Cosway'a i Hone'a.

Dopiero wiek XVIII przynosi rozkwit malarstwa angielskiego i powstanie oryginalnej szkoły. Hogartha reprezentuje znany „*Marsz do Finchley*“, portret wielkiego autora Garricka i jego żony, oraz kilka innych obrazów — jak zawsze niewielkich, z drobiazgowo wypracowaną figurkami ludzkimi i szczegółami wnętrza. „*Tabley House*“ jest najpiękniejszym angielskim krajobrazem Ryszarda Wilsona, o ile na tę nazwę nie zasługuje „*Snowdon*“, który tu również spotykamy. Portrety Tomasza Hudsona dają wysokie pojęcie o mało stosunkowo znanym mistrzu Reynoldsa.

Lecz trudnoby tu wyliczyć zarówno bogactwo niektórych działów wystawy, jak jej braki. Ograniczę się do kilku spostrzeżeń. Dwaj wielcy rywale, Reynolds i Gainsborough, reprezentowani są przez szereg obrazów, charakterystycznych i pierwszorzędnych przeważnie, a normalnie dla szerszej publiczności niedostępnych, gdyż zdobiących różne zamki i salony lordów czy bogaczy. „*Dziesiątego wicehrabiego*

Kilmorey“ Gainsborough'a wypożyczył potomek wicehrabiego, „*Roberta Andrews i jego żonę*“ tegoż artysty przewieziono z Narodowej Galerii Irlandzkiej, „*Lady Waldegrave z córką*“ Reynoldsa (portrety, słynne, jak *Gioconda*, z cudownie malowanych rąk) to własność Mrs. Yedburgh. Z paru Lawrence'ów wybijają się na pierwszy plan portret dwóch chłopców („*Synowie M. r. Pattisona*“).

Z obrazów Romney'a najpiękniejszym jest zapewne niewykończony portret Pitta (Młodsze) jako chłopca (własność hr. Crawforda).

Co do największego malarza angielskiego Turnera, o zrobiono, co się dało, ale niepodobna było współzawodniczyć z Tate Gallery, posiadającą zgórą setkę jego obrazów. Constable'a niewiele płócien, ale pierwszorzędne. Raeburn zasługiwał stanowczo na bardzieją uwagę. Świetnie wychodzi Geddes, którego portret Scotta przyćmiewa także portret sławniejszego Lawrence'a — zwiędzający ma sposobność porównania obu, Prerafaelitów uwzględniono stanowczo niedostatecznie.

Wystawa dochodzi mniej więcej do połowy XIX w. Jako obraz rozwoju sztuki angielskiej przez dziewięć stuleci jest pouczająca, ale wykazuje luki. Natomiast znakomicie uzupełnia otwarte dla publiczności galerie londyńskie i właściwie dopiero razem z niemi tworzy imponującą całość.

A. E.

„Plewy i perły”

Taki tytuł dał Adolf Nowaczyński obszeremu zbiorowi swoich artykułów z dwóch lat ostatnich. Jest ich zgórą 70, a przecież to tylko cząstka, gdyż płodność autora jest wprost niesamowita. Aby zaś pisać, zwłaszcza na tematy tak rozmaite, trzeba czytać. „Wystarczy do trzydziestu dzienników dziennie, a z końcem tygodnia tyleż tygodników i miesięczników; książek się nie liczy” brzmi własny komentarz Nowaczyńskiego.

Otóż przyznam się, że mu najzupełniej wierzę. Jako historyk literatury bowiem spotykałem się z dziwnym typem erudyty, który tyle zna książek, że jest fizyczną niemożliwością, aby przeczytał wszystkie. Takim był angielski dyktator literacki doby przedromantycznej Dr. Johnson. Jakże wyjaśniają ten fenomen? Oto zamięłowanie i praktyka dała z latami pewien zmysł szczególny, pewien niezawodny instynkt, który bez czytania całości prowadzi zawsze do rzeczy istotnych i potrzebnych.

Tak samo niewątpliwie Nowaczyński wpada w obcej gazecie od razu na potwarz na Polskę, na intrygę przeciw niej, na znamienne daty statystyczne o rozmiarach zbrojeń, na pierwszorzędne znaczenia daty ekonomiczne, na objawy zamętu w pojęciach moralnych lub walki z tem zamętem, na machinacje żydowskie — i na setki rzeczy również doniosłych, z których składa sobie obraz współczesnego świata.

Podzielił zaś „plew i pereł” na cztery działy — Niemcy, Ameryka, Sowiety, Polska. Prawdę powiedziawszy jednak było to zbyt uczucie. Wszystkie bowiem zdarzenia, jakkolwiek byłyby odległe i pozornie dla nas obojętne, rozpatruje pod polskim punktem widzenia. Jeżeli nie wykryje dynamicznego lub potencjalnego wpływu na bieg wypadków w naszym kraju czy na jego przyszłość, to uchwyci analogię, godny naśladowania, albo odstraszący przykład i odpowiednio to uwydatni.

Są w tym zbiorze artykułów ustępy, nacechowane napięciem uczuciowym, które pozwalają rzucić okiem w głąb duszy piszącego. Oto parę przykładów: gdy Nowaczyński mówi o perfidnym szerzeniu kłamstwa na temat żydowskiego pochodzenia Hitlera, mówi nie tylko ze wstrętem, ale i z pasją. Przecież i przeciw niemu używano tej szlachetnej broni, a jeszcze teraz, co prawda już tylko na zapadłej prowincji i co najwinniejszych bierze się tą rewelacją na kawał.

Lubił Nowaczyński piętnować „po-kraków” i „krakauerów”. Jest jasne, że serdecznie nienawidzi podwawelskiej symbiozy karmazynów z czerwoniakami, podwawelskiej obłudy, podwawelskiego Ikaca. Kluczem do tego niezaprzeczonego faktu będzie parę zdań z artykułu *Lupus ex oriente*:

Ostatnimi czasy dużo zabawnych szczegółów czytało się z żywota ideowo-politycznego tego za rządów Sanacji do ostatniej nędzy i biedy doprowadzonego Wilna. Że redaktor „Robotnika” wywodzi się stamtąd, więc go to miało specjalnie korcić i świerzbiało, jak innych drażni i boli do ostateczności wszystko, co złego legnie się pod Wawelem. I Nowaczyński kończy tę dygresję szczerymi słowami: *Nihil Cracovianum a me alienum esse puto*.

Na innym miejscu rozkoszuje się Nowaczyński łacińskim przysłowiem *Varietas delectat*. To przecież słowa, które kiedyś robiały godłem i podkładem jego twórczości. Od noweli i essay'u do wier-

szowanego epigramu i dramatu, od dramatu do publicystyki. Od Polski do Czech, do Anglii, do Stanów Zjednoczonych, do Niemiec, do Francji, do Ameryki Południowej, do Japonii, do Sowie- tów, do Rumunii, do Jugosławii pędzi go żądza poznania wszystkiego. A człowieka o tej wrodzonej bystrości i do- świadczeniu niełatwo pozorami wypro- wadzić w pole. Wie on, co to są wielkie agencje światowe i prasa światowa. Umie wyłuskiwać ziarno prawdy z wiadomości stylizowanych czy wprost kłamliwie fabrykowanych, wyczuć zmyślenie, zdemaskować chytrą, chci- wość i egoizm, czające się za frazesami pełnych namaszczenia ogólnoludzkich popisów krasomówczych, a ów wyżej wspomniany instynkt naprowadza go zawsze na wiadomości u nas przemil- czane.

Niewielu jest w Polsce ludzi, orien- tujących się w tych zawilonych sprawach. Nowaczyński stoi, jeżeli nie na czele, to w pierwszym szeregu. Był może daw- niej błyskotliwszy, dziś jest głębszy i więcej się od niego można nauczyć.

Chociaż i dziś jeszcze olśniewa raz po raz swymi środkami stylistycznymi i językowymi. Czyż może być lepsza na- zwa dla Żydów, niż „miedzynaród”? I co za asocjacje budzi to określenie! Albo przeczytajcie sobie artykuł z refre- nem „Ludiej chwalił” („Pięta czerwone- go Achillesa?”) lub artykuł „Don Porfirio” z refrenem „Don Porfirio dobry ty- ran był”.

W pismach codziennych czyta się artykuły Nowaczyńskiego jednym tchem. Ja przyznam się, że „Plewy i perły” czytałem długo i powoli. Autor bowiem nie należy, dziś przynajmniej, do pisa- rzy wielomównych. Daje myśli skonden- sowane. Czasem za dwoma słowami, u- jętymi w nawias, kryją się całe horyzon- ty. To mistrz aluzji i skojarzeń. Jeżeli mówi, że „kangury malowane w Sow- farmach zdychają”, to trzeba zastanowić się, aby dojść do tego, że idzie tu o ho- dowców kangurów, które pozostały „ma- lowanymi”, a gdy zaszło niebezpieczeń- stwo inspekcji na miejscu „wyzdycha- ły” wedle raportu przestraszonych ho- dowców.

Niekiedy jedna litera znaczy dużo. Nieuważny czytelnik przejdzie do po- rządku nad wyrazami *Manchester J. Guardian*. A przecież nazwa pisma jest *Manchester Guardian*. Więc co? Pomył- ka druku czy niedopatrzanie? Ależ nie, to *J* to zresztą przyszpiloną etykieta. Czyta się: *Manchester Jewish Guardian* — bo ten Manchesterski Strażnik czu- wa nietyle nad wolnością i postępem, ile nad Żydami, ich interesom służy i przez nich jest redagowany. Warte również zastanowienia te mówiące nazwiska, komponowane przez Nowaczyńskiego w konkretnym celu — n. p. ów przed- stawiciel zachodniej prasy Armand Pas- deblague lub zamiatający ulice w Rosji Sowieckiej profesorowie Astronomskij, Turteltaubow i jakiś trzeci — nie mogę w tej chwili znaleźć odpowiedniej strony.

Kto na podstawie takich nazwisk za- rzuca Nowaczyńskiemu fantastyczne zmyślenia, jest albo durniem, bo nie umie spostrzec środka artystycznego, albo człowiekiem nieuczciwym, bo choć spostrzegł go, oskarża w złej wierze.

Omyłek faktycznych jest w książce znikoma ilość i dziwić się należy, że tak znikoma przy tak bogatym materiale, branym w znacznej części z prasy. Tro- chę szwankuje i korekta cytatów z ob- cych języków. Parę artykułków należa- łoby przenieść do innego działu. Te wszystkie *peccata commissionis* są ra- zem wzięte drobnostką. Raczej należa- łoby skarżyć się na *peccata omissionis*. Pamiętam sam parę artykułów, które zasługiwały na przedruk, a tu nie we- szły — n. p. ową świetną rozmówkę na stacji, gdzie jakiś kolega szkolny bierze Nowaczyńskiego za kogoś innego i wy- nurza się przed nim, zdradzając różne tajemnice sanacyjnego arriwisty i roz- koszuje się wspomnieniami połowań (arcypańskiej rozrywki), aby na koniec usłyszeć „Adolf, nie Adam”.

Ale książka i tak ma stron koło trzy- stu, a choćby podanie prawdziwych na- zwisk kilkuset Żydów i Żydówek, któ- rzy zaopatrzili się w nazwiska mniej lub więcej rdzennie aryjskie, jest czymś nieocenionem. Dlatego nie zgadzam się ze skromnem wezwaniem autora, u- mieszczone na końcu przedmowy: „Przeczytaj! Pochwal! Podaj dalej!”

Przeczytałem, pochwaliłem (i to bez żadnych względów ubocznych), ale nie podaję dalej. Nawet dam oprawić.

Władysław Tarnawski

Giełdy kwiatowe

Holdowla kwiatów stała się od szere- gu lat niejako przemysłem narodowym, w którym mała Holandia wyspecjalizo- wała się do tego stopnia, iż dzisiaj nie lęka się na tem polu żadnej konkurencji.

Znane są w całym świecie tulipany i hiacynty holenderskie, produkowane w tysiącnych odmianach, imponujące bo- gactwem barw. Znane też jest zamiło- wanie tamtejszej ludności do kwiatów: każda piędź ziemi uprawiona i nawożo- na starannie, — na każdym kroku spo- tyka się w lecie nieprzejrzane pola tuli- panów, nadających tę odrębną, a tak mi-

łą cechę pejzażom holenderskim.

Ale nie koniec na tem. Praktyczni Holendrzy potrafili zorganizować ogro- dnictwo w ten sposób, iż ciągną z niego wspaniałe dochody przez rok cały. A przedewszystkiem w miesiącach zimo- wych, od grudnia do marca, kiedy w ca- łej Europie przyroda pogrążona jest we śnie zimowym, kiedy nawet na słonecz- nej Riwierze o kwiaty trudno.

Cała okolica Amsterdamu zasiana jest prosto szklarniami, w których przez całą zimę kwitną najpiękniejsze goździki i róże. Właściciele tych szklarni, —

holdowcy z dziada - pradziada, — zgle- bili wszelkie arkana sztuki ogrodniczej, osiągając wspaniałe rezultaty.

Toteż w miesiącach zimowych zjeżd- żają się do Holandii agenci z krajów bliższych i dalszych: z Anglii, Francji, Niemiec, Szwajcarii, Hiszpanii, celem za- kupna kwiatów.

Oдноśne transakcje zawiera się na specjalnych „Giełdach Kwiatowych”, z których największa znajduje się w Al- smeer, w pobliżu Amsterdamu.

Giełda mieści się w ogromnej sali, zbudowanej amfiteatralnie i wyposażonej w szereg ławek. Producent przedstawia zebranym swój „żywy towar”, a urzę- dnik wywołuje cenę, żadaną przez pro- ducenta. Równocześnie cena ta pojawia się na dużej tarczy, przypominającej zeg- gar. Znajdująca się na tej tarczy wska- zówka poczyną się pomału posuwać, znacząc za każdym swym ruchem cenę niższą o 1/10 florena od ceny począt- kowej.

Ajenci, siedzący w ławkach, obser- wują ruchy wskazówki; z chwilą, gdy cena na tarczy wyda się kóremus z nich możliwą do przyjęcia, — przyciska po- prostu umieszczony obok guzik. Wska- zówka staje — i interes jest ubity.

Aby zapobiec zbyt niemu obniżaniu ceny, każdy z producentów ma prawo zatrzymać każdej chwili tę oryginalną licytację „in minus”, skoro uważa, że sprzedaż mu się już nie opłaca.

W ten sposób robi się codziennie kil- kadziesiąt i kilkaset transakcji. O go- dzinie 11 rano giełda kwiatowa się za- myka. Partie sprzedane, po starannem sprawdzeniu przez nabywcę i urzędników giełdy, zostają odpowiednio opako- wane i załadowane do samochodów, które transportują je do wielkich miast i stolic Europy.

(r.)

Krótkie wiadomości radiowe

Gigantyczny głośnik

W Moskwie zaczęto budować głośnik, który będzie tak silnie wzmacniał dźwięki że słyhać je będzie w obrębie 50 km. Głośnik ten zmontowany będzie na samo- locie i ważyć będzie około 1.000 kg. W ten sposób polityczne mowy i inne po- ważne audycje podawać będzie można na wielkie nawet dystansy.

Dyplomata kierownikiem rozgłośni

Francuska stacja radiowa Poste Na- tionale, która niedawno z rąk prywat- nych przeszła na własność rządu, o- trzymała nowego kierownika progra- mowego. Został nim dotychczasowy ambasador francuski w Rzymie Henri de Jouvenal.

Anglia zarzuca programy rewjowe

Kierownictwo programowe radia angielskiego postanowiło zarzuć na- dawanie rewji przez mikrofon z powo- du małej wartości artystycznej tych przedstawień, a niezmiernie dużych kosztów. Przeciętnie rewja w radio angielskim kosztuje 200 funtów szter- lingów, czyli około 5.400 zł., podczas gdy najlepsze słuchowisko tylko 120

funtów, czyli około 3300 zł. Wpraw- dzie radiosłuchacze nawet w poważnej Anglii wolą kabaret od wielkiej sztuki, ale i bogate radio angielskie nie może sobie pozwolić widocznie na tak wiel- kie wydatki. Oczywiście w Polsce jest w ten sposób, że wstyd porównywać..

Największa biblioteka muzyczna świata

Amerykańskie towarzystwo radio- foniczne National Broadcasting Compa- ny chlubi się posiadaniem największej w świecie biblioteki utworów muzycz- nych, która mieści się w słynnym gmachu Radio-City. Zbiór zawiera oko- ło 500.000 partytur wartości pół miljo- na dolarów. Wiele nut posiada wlas- noręczne dedykacje autorów, co jesz- cze bardziej zwiększa wartość zbioru.

Zmartwienia Luksemburga

Mała, ale bogata państewko Luksem- burg posiada silną stację radiową, z którą nie wie co robić. Luksemburg nie ma ani wielkiej orkiestry, ani aktorów, ani mu- zyków. Poza tem cierpi na brak prelegent- tów. Z konieczności więc łąta się program retransmisjami stacji francuskich, lub nadawaniem płyt gramofonowych. Mimo to stacja ta nie chce się podporządkować postanowieniom planu lucerneńskiego i działalnością swą przeszkadza innym.

Najazdy Tatarów a nasza flora

Flora europejska posiada dziś charakter kosmopolityczny. Zapewne, znajdziemy liczne gatunki drzew, krzewów i kwiatów, charakterystyczne dla pewnych jedynie okolic, a to w zależności od warunków klimatycznych danej strefy.

Ale czy we Francji, czy w Grecji, czy w Rosji, czy na Węgrzech lub w Szwecji spotkamy łany zbóż, których ojczyzna właściwa leżała przed wiekami na Dalekim Wschodzie, spotkamy zagony ziemniaków, sprowadzonych do Europy z Ameryki z końcem XVI wieku, ujrzymy w ogrodach warzywnych, szpinak, czosnek, cebulę, chrzan, anyż, — wszystko egzotyczne przybylsze.

Kiedy i jaką drogą rośliny te dostały się do Europy, nie zawsze można stwierdzić. Jakkolwiek bowiem np. uprawę pszenicy rozpoczęto w Polsce dopiero w wiekach średnich, to jednak znana ona już była w zamierchłej starożytności zarówno Egipcjanom, jak i u Chińczyków, choć ojczyzną jej była Mezopotamia.

Sięgnijmy jednak do nowszych czasów. Okres najazdów Turków i Tatarów na Polskę przyniósł ze sobą duże zmiany we florze naszego kraju. Wraz z najeżdżającymi dostali się do nas rozmaite, nieznane dotychczas, rośliny, krzewy, a nawet pewne gatunki drzew.

Były to t. zw. „bierne“ wędrowki roślin, których nasiona przenosili ludzie czasem świadomie, czasem bezwiednie, z paszą dla koni, z pożywieniem i t. p.

Typowym takim intruzem, który w krótkim czasie wywalczył sobie prawo obywatelstwa najpierw w Polsce, a potem stopniowo w całej niemal Europie, jest *tatarak* (*Acorus calamus*), samą swą nazwą już wskazujący na swe pochodzenie. Przynieśli go do Polski w XV w. Tatarzy, którzy kładący tej rośliny używali jako aromatycznej zaprawy do wody. Tatarak, którego ojczyzną jest Azja, nigdy u nas nie wydaje dojrziałych owoców, dla braku dostatecznej ilości ciepła. Sam ten fakt świadczy najwymowniej o jego egzotycznym pochodzeniu.

Napadom Tatarów zawdzięczamy pojawienie się u nas *tatarki* (*Fagopyrum esculentum*), która odziedziczyła z dalekich pół Mandżurji dostała się do Rosji, skąd w wieku XIV przywędrowała wraz z Tatarami do Polski.

(Nawiasem mówiąc, Francuzi nazywają ją „blé sarasin“, Włosi „grano saraceno“, co pozwalałoby przypuszczać, że do tych krajów dostała się ona w epoce wypraw krzyżowych).

Zpośród drzew wymienić należy pewną odmianę *klona* (*Acer tataricum*), rosnącą u nas dziko tylko na Podolu i południowym Wołyniu. Nazwa łacińska tej odmiany wskazuje niewątpliwie na jej „tatarskie“ pochodzenie.

Również Azja zachodnia jest ojczyzną *bzów*, tej nieocenionej dziś ozdoby naszych parków i ogrodów. Pierwsze krzaki *bzów* pojawiły się w Polsce dopiero z końcem XVI wieku, aklimatyzując się bardzo szybko.

Wspomnieć jeszcze wypada o *azalii* (*Azalea pontica*), rosnącej u nas dziko w rezerwach na półn. - wschodnim Wołyniu i koło Łezajaska, której właści-

ciwą ojczyzną jest Azja wschodnia.

Jedną z bardzo rzadkich w naszej florze roślin jest *modrak tatarski* (*Crambe tatarica*). Prof. S. Wierdak poświęcił roślinie tej osobną monografię, zwracając uwagę na konieczność jej szczególnej ochrony. Modrak jest rośliną trwałą (6—7 lat) o podwójnie pierzasto siecznych liściach i bogatym, kulistym kwiatostanie, złożonym z całej masy

drobnych białych kwiatków.

Gruby jej mięsisty korzeń, słodkawym w smaku, bywa niekiedy spożywany jako jarzyna, na równi z młodemi liśćmi.

Typowa ta roślina stepowa występuje u nas tylko w dwóch miejscowościach (Łuczyńce i Bouszów), w powiecie rohatyńskim.

Wreszcie wspomniećby należało o dość pospolitym chwacie: *rzepień kol-*

czasty (*Xanthium spinosum*), którego nasiona zawleczone zostały do nas z Azji w wełnie owiec.

Zestawienie to nie wyczerpuje ani w przybliżeniu długiej listy roślin, które dostały się do nas z dalekich stepów i pół Azji; żeby tylko wymienić nasze blawatki, ostróżki, balsaminy, czy rabarber (*rheum*).

Pojawienia się ich jednak nie można łączyć z okresem najazdów Turków i Tatarów, — dlatego nie uwzględniamy ich w tym pobieżnym szkicu.

Kr.

Telewizja - wczoraj - dziś - jutro

Nie przesadzając, co nam jutro przyniesie w dziedzinie radiowej, można z zupełną słusnością twierdzić, że definitywne, a zadowalniające rozwiązanie zagadnienia telewizji stanowiłoby dziś ostatni etap zdobyczy nauki na tem polu.

Siedzieć wygodnie na fotelu w swoim mieszkaniu, słuchać produkcji operowych, a równocześnie widzieć na ekranie odnośnych artystów, słyszeć i równocześnie widzieć na własne oczy ruch na bulwarach paryskich czy na giełdzie nowojorskiej, czy wielką paradę hitlerowską w Berlinie, nie ruszając się z miejsca, — wszystko to wydaje się napozór jakąś nieprawdopodobną fantazją, godną pióra Vernego czy Wellsa, a w gruncie rzeczy już bardzo bliską urzeczywistnienia.

Bo od chwili gdy pierwszy Nipkow położył podwaliny pod budowę techniki przenoszenia na odległość żywych obrazów, prace w tym kierunku nie ustają i już dziś kwestję telewizji uważać można zasadniczo za pozytywnie rozwiązana.

Na tem polu odznaczyli się wybitni technicy: Baird (Anglia), Jenkins (Ameryka), Barthelemy (Francja), von Mihally (Niemcy).

Prace ich szły w kierunku ulepszenia telewizji „mechanicznej“, — podczas gdy równolegle fachowi inżynierowie (Sworykin, von Ardenne i in.) usiłowali rozwiązać problem telewizji

„katodycznej“.

Są bowiem dwa systemy telewizji, zasadniczo różne. I o każdym z nich powiemy słów parę.

Zasadą telewizji „mechanicznej“ jest przenoszenie poszczególnych elementów transmitowanego obrazu tak szybko i w tak krótkim czasie, by na siatkówce oka wywoływały one wrażenie jednolitej i jednolicie oświetlonej powierzchni. Zasada więc ta sama, jak w kinie.

A rozwiązanie tego zagadnienia jest wcale łatwe: przed obiektem, odpowiednio oświetlonym, ustawia się okrągłą płytę, zaopatrzoną na swym obwodzie w szereg soczewek ułożonych spiralnie. Odpowiedni motor wprawia tę płytę w szybki ruch wirujący, a promienie światła, przechodząc kolejno przez szkła soczewek, układają się na ekranie w jeden syntetyczny obraz.

Tego rodzaju aparaty pojawiły się już na rynkach handlowych, a jedyną ich wadą (obok stosunkowo wysokiej jeszcze ceny) jest to, iż rzucane przez nie obrazy są zbyt małych rozmiarów, nie przekraczających pół metra kwadratowego.

Telewizja „katodyczna“ opiera się na zupełnie innych zasadach. Idzie tu tu nie o transmitowanie świetlnych obrazów sposobem mechanicznym, — lecz o „wywoływanie“ ich zapomocą promieni katodowych, wysyłanych z

elektronów, na świecącym specjalnym ekranie.

Promienie te w drodze swojej podlegają działaniu dwóch specjalnych pól elektro - magnetycznych, zasilanych prądem zmiennym o różnych frekwencjach, co ma ten skutek, iż przebiegają one przez całą powierzchnię ekranu, zamiast koncentrować się w jednym tylko punkcie. I tutaj naturalnie cały proces „wywoływania“ obrazu przebiegać musi równie szybko, jak przy telewizji „mechanicznej“.

Cały aparat potrzebny do tego wygląda jak zwyczajny głośnik z tubą u wylotu której umieszczony jest świecący ekranik.

Jak z powyższego — z konieczności krótkiego i ogólnikowego — opisu wynika, wyklucza się jakikolwiek czynnik czysto mechaniczny, dzięki czemu można będzie zapomocą tej metody osiągnąć bezporównania większą szybkość analizy transmitowanych obrazów.

Dlatego można przypuszczać, że na tej ostatniej drodze „telewizji katodycznej“ da się osiągnąć znacznie lepsze rezultaty, niż drogą „mechaniczną“.

Narazie jednak sprawa ta nie wyszła jeszcze ze stadij prób i doświadczeń, — nie ma więc dotychczas tego, praktycznego znaczenia i zastosowania, co telewizja „mechaniczna“, stanowiąca już dzisiaj osobny dział przemysłu radiowego. (Lucy).

Ciekawostki ze świata

Nowe znaczki pocztowe francuskie

Nowe marki pocztowe, jakie puszcza w obieg Francja, odznaczają się artystycznym rysunkiem, gdyż wykonanie ich powierzono szeregowi wybitnych rysowników, jak Laboureur, Decaris, Daragnès, Galains i Chapelain-Midy. Każdy z nich wykonał jeden znaczek. Na 50-centymowej marce, przylepianej na listach krajowych figuruje kogut gallicki, ilustrowany nie będącym na kuwercie koguta. — Znaczki większej wartości ozdobione są przeważnie najpiękniejszymi budowlami Francji — widokiem Paryża, klastorem św. Trofima w Arles, starożytnymi murami fortecznymi Carsassone, rzymskimi ruinami z Prowancji, malowniczym krajobrazem bretańskim i t. p.

Proces z nieboszczykiem

Kto zna „Bunt aniołów“ France'a przypomniał sobie zapewne postać bibliotekarza Sarriette'a, naiwnie pobożnego, którego autor ośmiesza bez miłosierdzia i którego ostatecznie robi warjatem. Sarriette miał prawdopodobnie żywy prototyp, a ten upomina się dziś o swą krzywdę.

Jean Lemoine, znany z cenionych prac historycznych, bibliotekarz Ministerjum wojny, przesiedział dłuższy czas w domu warjatów, zamknięty tam

na życzenie krewnych. Okazało się, że była to piekielna intryga, a Lemoine jest zupełnie zdrow na umyśle. Odzyskawszy wolność i opinię człowieka normalnego, wystąpił on ze skargą przeciw spadkobiercom France'a i jego nakładcy, domagając się wycofania „Buntu aniołów“ z obiegu lub skreślenia w nim uwłaczających sobie ustępów, nadto znacznego odszkodowania.

Małpy jako pacjenci

Kilka klatek w pawilonie małp londyńskiego Zoo (Ogrodu zoologicznego) stoi pusta. Mieszkańcy przebywają w szpitalu, zima przyprawiła ich o katar i bronchity. Małpy doznają takiej samej opieki i systemu leczenia, jak ludzie. Naciera im się piersi kamforą, robi się inhalacje, daje lekarstwa i brandy. W razie wysokiej gorączki pielęgniarz czuwa przy łóżku dniem i nocą, na wypadek niebezpieczeństwa są pod ręką zapasy tlenu do sztucznego oddychania. Nad łóżkiem wisi naturalnie tabela temperatury i pulsu.

Póki małpy są chore, poddają się wszystkiemu, zażywają lekarstwa i piją alkohol. W stanie rekonwalescencji zachowują się często, jak kapryśne dzieci. Szczególnie często nie chcą nic brać od swoich pielęgniarzy, natomiast przyjmują lekarstwa i pożywienie od obcych lub rzadko widywanych osób.

Jeszcze jeden potwór wodny

Anglicy mają najwidoczniej głowy zanadto nabite potworem z Loch Ness, stąd co parę dni spostrzega ktoś w tej lub owej miejscowości nowe niesamowite stworzenie. Zdarzyło się to ludności Spital k. Birkenhead. Ktoś zobaczył wynurzającą się z wody stawu dużą, dziwnego kształtu głowę. Wnet zgromadził się tłum, z którego potwór nic sobie nie robił. Wobec tego nabrano śmiałości i spróbowano schwytać go na lasso. Z odpowiednimi ostrożnościami i emocją wyciągają jeńca na ląd — i wtedy okazało się, że jest to duży drewniany kół na biegunach. Na czerwono pomalowaną głowę i długą, czarną grzywę, pokrytą namulem, nadawały mu zdaleka wygląd jakiejś niezwyklej istoty.

Papieros z dynamitu

Straszliwa eksplozja zaalarmowała w nocy z 5 na 6 stycznia mieszkańców wschodniej części miasta Trinidad. Tłum, który zbiegł się na miejsce wybuchu, ujrzał poszarpane zwłoki ludzkie. Głowa była wprost rozniesiona w strzępy. Pokazało się, że samobójca, robotnik z jednego z kamieniołomów podmiejskich, zrobił sobie rodzaj papierosa z dynamitu, włożył go w usta i zapalił. W jego mieszkaniu zastano żonę, niebezpiecznie poranioną cięciami brzojty,

Barwiki naturalne i sztuczne

Oglądaliśmy niedawno dywan Kara Mustafy w pamiątkach po naszym wielkim Królu Sobieskim. Kiedyś, kiedyś dywan był piękny, a teraz wypływały ledwo ślady kolorów pozostały, a przecież był barwiony kolorami naturalnymi, o których się powszechnie sądzi, że są lepsze i trwalsze niż syntetyczne, co jest zupełnie błędnym pojęciem.

Chcę tutaj dać pogląd na barwiki naturalne, którymi za dawnych czasów farbowano i porównać je z syntetycznymi.

Naturalne barwiki mogą być pochodzenia zwierzęcego, albo roślinnego, a otrzymuje się je przez ekstrakcję zwierzęcego albo roślinnego surowca.

a) Zwierzęcego pochodzenia: **Starożytna purpura.**

Z gruczołów ślimaków *murex brandaris*, *murex trunculus*, *purpura haemastana* itd. otrzymywano żółtawy sok, którym impregnowana wełna a potem wywieszona na powietrze przybierała stopniowo kolor purpurowy. Kolor ten nazywamy „starożytną purpurą”, która była znana za czasów Mojżesza.

Ten sam barwik otrzymujemy dziś syntetycznym sposobem jako **dwubromo-indigo**, który jest o wiele lepszy niż naturalny, gdyż nie zawiera żadnych przysmaczków.

Szkarłat koszelinowy. Wspaniały ten barwik otrzymuje się przez gotowanie suszonych wszy tarczycowych, które żyją w Meksyku na pokrzywach „nopál”. Do nas dostaje się w kształcie zanieczyszczonego proszku, który należy po wygotowaniu przesaczyć. Na zaprawie glinowej otrzymuje się piękny amarant, zaś na zaprawie cynowej ognisty szkarłat, któremu nie może żaden syntetyczny barwik o podobnym kolorze dorównać.

Czerwony karmin jest stracony kwasem rozczyn wodny koszenili. Lak karminowy jest związkiem glinowym barwika koszelinowego a koszelina amoniakalna jest to stracony amoniakiem rozczyn wodny koszelini.

Farbującą substancją koszenili jest kwas karminowy odkryty jeszcze w roku 1908 przez Liebermana i Dimmrota.

Żółcień indyjska „Piuri” wydobywa się z moczu krów żywnych specjalnie na ten cel liśmi „mango”, co jest obecnie zabronione przez rząd brytyjski wskutek szkodliwego działania na nerki zwierzęce. Syntetycznych żółcień o różnych odcieniach posiadamy w chemii barwikarskiej całą falangę, a niektóre z nich są o wiele odporniejsze na światło niż owa żółcień z moczu krowiego. Piuri używa się jeszcze tylko tu i ówdzie w malarstwie, a dla celów tekstylnych już dawno zostało wyparte przez syntetyczne żółcień.

b) Roślinnego pochodzenia:

Indigo wydobywa się z roślin gatunku indigofera a najważniejsze z nich są „indigofera tinctoria” i „pseudotinctoria”. Rosną w Bengalu (Indie) na Jawie, w Guatemali, Egipcie itd.

Tuż przed zakwitnięciem ścina się młode rośliny, które w odpowiednich kadziach polane wodą poddaje się fermentacji. Najwięcej indiga zawierają liście. Dokładnie przeprowadzona fermentacja jest warunkiem otrzymania dobrego indiga. Z wyglądu płynu fermentacyjnego, z zapachu i z piany na powierzchni (kwiat) poznaje się, czy fermentacja się udała. Z kadzi fermentacyjnej wypuszcza się płyn do niższej kadzi opatrzonej w mieszałko o szerokich skrzydłach, które puszczane w ruch porusza płyn celem zetknięcia go z powietrzem. Po pewnym czasie osadza się indigo, które się przesacza, potem gotuje, znowu przesacza, wreszcie prasuje, kraje w kostki i suszy. Ze 100 kg. suchych roślin otrzymuje się 1½ do 2 kg. indiga.

O niedokładnem i nierównomiernem przeprowadzeniu fermentacji w Indiach można się przekonać w farbiarniach angielskich. W jednej tonie nie można znaleźć dwóch skrzyń, któreby zawierały indigo podobne do siebie w odcieniu. Z tego też powodu syntetyczne indigo, któ-

re nie może mieć kilku odcieni, tylko jeden jedyny, wyparło prawie zupełnie indigo naturalne, a jeszcze tylko niektóre fabryki w konserwatywnej Anglii używają go, gdyż ich pradiadawie niem farbowali.

Indigo jest nierozpuszczalne w wodzie, aby zatem nim farbować wełnę albo bawełnę, należy je rozpuścić w alkaliach i zredukować hydrosulfitem $\text{Na}_2\text{S}_2\text{O}_4$. Zredukowany płyn ma wygląd żółtawo-zielony i w tym stanie ma powinowactwo do włókna. Materiał albo włókna zanurza się w tej kąpieli farbiarskiej przez ½ do ¾ godziny, tak, aby materiał był ciągle pod powierzchnią płynu podczas częstego obracania. Po wyjęciu z kąpieli materiał o kolorze żółto-zielonym wykręca się, a wywieszony na powietrzu celem utlenienia się przybiera stopniowo barwę ciemnoniebieską.

Tak samo jak starożytna purpura a względnie „dwubromoindigo” jest indigo barwikiem kadziowym t. zn., że tlen z powietrza kadzenia zredukowany barwik na swój pierwotny kolor.

Marzanna farbiarska, *rubia tinctorum* (Gazancee). W jej korzeniu znajduje się alizaryna, dwuoksy - antrachinon, odkryte przez Kostaneckiego, którą teraz syntetycznie wyrabiamy jako czerwień alizarynową a jest o wiele czystszej

niż naturalna, gdyż naturalna zawiera jeszcze domieszki żółtego i amarantowego barwika. Czerwień alizarynowa daje na zaprawie cynowej czerwono-żółty kolor.

Drzewo niebieskie albo **kampeszowe** (*bois de campêche*). Substancją farbującą w tym drzewie jest „haemateina”. Rośnie w Meksyku, na Jamajce, Dominico, Haiti itd. Wyciąg wodny tego drzewa daje z różnymi zaprawami różne kolory i tak: z zaprawą cynową kolor fiołkowy, z glinową niebieski, z chromową czarno-niebieski, z żelazną czarny, z miedziową zielonkawo-czarny.

Drzewo czerwone (brazylijskie). Substancją farbującą tego drzewa jest „brasilina” (Kostanecki, Perkin). Rośnie w połudn. Ameryce, na Jamajce, na Antylach. Wyciąg wodny tego drzewa daje z zaprawą glinową kolor niebiesko-czerwony, z chromową czerwono-brunatny.

Drzewo sandałowe (Barwood). Substancją farbującą tego drzewa jest „santalina”. Rośnie w Indiach wschodnich. Wyciąg wodny z zaprawą cynową daje kolor czerwony, przypominający „czerwień turecką” na bawełnie.

Quercitron z kory *quercus tinctoria*, dębu farbiarskiego wyciąg wodny daje z zaprawą cynową kolor pomarańczowo-żółty, z zaprawą glinową i chromową zielono-żółty. Substancją farbującą

tego drzewa jest „quercitrina”.

Drzewo żółte, *morus tinctoria* rośnie na Kubie, Jamajce. Jego wyciąg wodny daje z zaprawami cyny, glinu, chromu, zabarwienia żółte, brunatno-żółte.

Inne roślinne jak **Katechu** z *acacia catechu*, **Kurkuma** z korzenia *curcuma tinctoria*, **orselle** albo **persio**, **lakmus** z porostów *rocella* i *lecanora* są mniej ważne.

Przez odpowiednie mieszanie powyższych barwików naturalnych można otrzymać różne kolory, jak to malarze mówią „złamane ciepłe, albo zimne”.

W chemii barwików syntetycznych znamy przeszło 2000 barwików, o których dokładnie wiemy, jakie są odporne na światło, kwasy, ługi, pot ludzki itd. Z tej falangi barwików syntetycznych może farbiarz, który zna chemię barwikarską, zrobić wydatny użytek, a osiąga nimi o wiele większy efekt aniżeli naturalnymi. Co do trwałości są one co najmniej tak trwałe jak barwiki naturalne, a przewyższają je barwiki alizarynowe albo kadziowe.

Chemia barwikarska datuje się dopiero od połowy zeszłego wieku, a barwik „mauvein” Pezquina i fuksyna Verguina dały impuls do nadzwyczaj szybkiego rozwoju tego ogromnego przemysłu chemicznego. Wszystkie sztuczne organiczne barwiki wyrabia się z substancji, które się znajdują w mazi węglowej, stąd nazwa „barwiki maziowe”.

Dr. Wojciech Bau (Kraków).

Rzut oka na radio we Francji

W dzisiejszym artykule postaramy się zaznaczyć niektóre w krótkości ze stanem radiofonii we Francji, chcąc dać w ten sposób obraz tych wszystkich ulepszeń, które niebawem do nas zawitają. Sprawy te temniej zainteresują ogół radioamatorów, ponieważ wielkie postępy w zakresie budowy radiodiodników doprowadzone w Ameryce do wysokiego poziomu, zostały zastosowane już i we Francji.

Paryż posiada sześć stacyj nadawczych, z których cztery pracują w normalnym zakresie fal. Warunek ten spowodował, że budując aparaty, musiano zwrócić wielką uwagę na ostrość strojenia, to też rzadko spotykamy aparaty prostej konstrukcji z jednym odwodem strojonym. W czasopiśmie programowych znajdujemy tylko jedną stację w zakresie fal od 200—600 m., mianowicie Poste-Parisien (328 m., 60 Kw.). Istnieje pozatem w Paryżu stacja Radio-Vitus (310 m.) fabryki sprzętu radiowego „Radio L. L.” (Louis Levy), dobrze słyszalna w południowej stronie Paryża. Czwartą stacją jest Paris P. T. T. (447 m., 7 Kw.) jako oficjalna stacja nadawcza. W zakresie fal długich pracuje wieża Eiffel (1446 m., 15 Kw.) i Radio Paris (1724 m., 75 Kw.). Podczas gdy rządowe stacje nadawcze nadają zwykły program, stacje prywatne nadają płyty względnie reklamy.

W tych okolicznościach najpraktyczniejszym i najtańszym aparatem dla Paryża jest trzy względnie czterolampowy superheterodyna. Budowane są według wzorów amerykańskich, jako aparaty uniwersalne o małych wymiarach, inaczej zresztą warunków tanioci nie byłby spełniony. Włókna lamp w odbiornikach łączone są szeregowo nie wyłączając lampy prostowniczej i wykazują spadki napięć 25 V na lampie końcowej i prostowniczej, a 6.3 V na lampach wejściowych.

Transformatora sieciowego aparat nie posiada. Pewien potrzebny spadek napięcia w obwodzie żarzenia uzyskuje się na oporze wbudowanego w sznur, który łączy się do kontaktu sieci oświetleniowej, temsamem w czasie pracy sznur ten częściowo nagrzewa się. Normalnie aparaty te budowane są na 110 V napięcia sieci. Chcąc łączyć aparat na 220 V trzeba przedtem powiększyć wspomniany opór. Antena jest kilka metrów drutu,

dołączonego do aparatu który podczas słuchania rozwijamy na podłodze; uzimienia nie potrzeba. Głośnik wbudowany jest do aparatu, o średnicy mniej więcej 12 cm.

Przy budowie aparatów baterijnych wzorowano się więcej na Anglii gdzie tego rodzaju aparaty mają dość duże zastosowanie, do czego przyczynia się fakt, że angielskie fabryki budują wszystkie nowoczesne typy lamp jak: pentody wysokiej frekwencji, binody, heksody, także na baterie.

Z poszczególnych typów lamp odbiorczych najczęściej używane są Philipsa, względnie Sator. Ponieważ szerokie zastosowanie mają we Francji części składowe pochodzenia amerykańskiego, spotykamy temsamem na rynku niektóre typy ich lamp, jak również lampy angielskie a to: Mullard, Cossor Catkin. Pozatem Francja posiada swoje fabrykaty jak: Mazda, Fotos, Darjo.

Z nowowofabrykowanych lamp zastosowanie u nas znalazła już pentoda wysokiej frekwencji, natomiast prawie zupełnie nieznaną jest lampka t. zw. heptoda (Pentagrid - Converter). Jest to lampka o siedmiu elektrodach. Zacisk na górnej stronie bańki szklanej, który normalnie przy naszych lampach prowadzi do anody, przy lampach amerykańskich połączony jest z siatką sterującą. Charakterystyka prądu anodowego podobna jest do charakterystyki selektody, co jest potrzebne do automatycznej regulacji fadingów.

W superheterodynach budowanych we Francji, jako lampy audjonowej używa się lampy t. zw. „double diode-penthode”. Konstrukcja jej podobna jest do znanej u nas binody. Ciekawie budowane są lampy prostownicze. — W jednej bańce szklanej umieszczone są dwa zespoły anoda-katoda, przy czem jeden służy do zasilania lamp odbiorczych, a drugi do zasilania cewki wzbudzającej głośnika dynamicznego. Zarzone są pośrednio.

We Francji dział budowy superheterodyn ma już swoją tradycję, znany u nas i stosowany dotychczas super z lampami dwusiatkowymi jest pochodzenia francuskiego. Nowoczesne lampy pozwalają na różne ciekawe rozwiązania tego typu aparatów. Ogólna tendencja zmniejszenia ilości lamp do minimum zauważamy i u francuskiego konstruktora. Znałe są trzylampowe superheterodyny, a ostatnio pokazały się na rynku dwulampowe superhetero-

dyny, co prawda pochodzenia amerykańskiego. Aparat ten o miniatury wymiarach, wyposażony jest w wspomnianą powyżej heptodę i podwójną diodę. W połączeniu z odpowiednim głośnikiem elektromagnetycznym równa się wielkości pudełka ze stu papierosów.

Budując odbiorniki tak małych wymiarów, staje się jasnym, że i inne poszczególne części składowe muszą być wykonane jaknajmniejszych. Części takie spotyka radioamator na rynku, jednak trzeba zaznaczyć, że są mniej trwałe od części fabrykowanych u nas. Z używanych cewek stosuje się również cewki ze rdzeniem żelaznym t. zw. Ferrocart. We Francji istnieje firma pod nazwą Ferrondis, posiadająca licencję na budowę cewek ze rdzeniem żelaznym. Cewki tej fabryki można odróżnić specjalną budową rdzenia, który składa się z rurki tekturowej napełnionej lakiem zawierającym żelazo. Budując opory nie oznaczają u nich ilości omów, lecz przy pomocy specjalnej kombinacji trzech kolorów, którymi są malowane odczytać można zapomocą umówionego klucza ich wielkość. Pierwszy wychodzi z założenia, że cyfry z czasem ścierają się, poczem niewiedomo ile dany opór ma omów. Sposób ten przyjęto wzorując się na Ameryce. Opór pomalowany na czerwono z zielonym pierścieniem i z fiołkowym zaciskami do połączeń przedstawia np. opór 2,7 megoma.

O ile chodzi o fabrykację odbiorników, to poza kilkoma dużymi fabrykami sprzętu radiowego istnieje kilka tysięcy t. zw. konstruktorów, którzy przynajmniej dwa aparaty na miesiąc wykonują i sprzedają rzadko kiedy bezpośrednio odbiorcy lecz pośrednikowi.

Czasopisma.

W Paryżu istnieje cały szereg czasopism, traktujących o sprawach związanych z radiem. Wychodzi kilka tygodników, podając do wiadomości publicznej wszystko to, co dotyczy programów poszczególnych stacyj. Oprócz tych istnieją pisma czysto techniczne: „France Radio”, (laboratorium tego miesięcznika znajduje się na pokładzie zakotwiczzonego okrętu), „T. S. F. pour tous” i inne.

K. W.

Walka dwóch kobiet

(Brunehilda i Fredegonda)

Psychologowie — znawcy duszy kobiecej twierdzą, że o ile głębiej i silniej od mężczyzny umie kobieta kochać... o ile zdolniejsza jest od niego do nieznających wahań, kompromisów i granic — o ile poświęcenie na ołtarzu wielkiego, ogarniającego ją i spalającego uczucia, — o tyle silniej odczuwa urazy i ciosy, sadane... nie tyle jej ambicji, ile uczucia!... trudniejsza jest od mężczyzny do zapominania i przebaczenia, bardziej mściwa i nie cofająca się przed żadnymi środkami, gdy mścić się pragnie. Głębiej też od mężczyzny umie nienawidzić; — kierowana nienawiścią, poświęca na jej ołtarzu wszystko, nie licząc się z ofiarami.

Tak samo o kobiecie mówi nam, kierowana genialną intuicją, w odtwarzaniu prawdy psychologicznej, — wielka sztuka wszystkich epok i wszystkich cywilizacji, — najświeższą zaś mową ten występ w średniowiecznym eposie o Nibelungach, gdzie mszcząc się za hańbę swojej, Brunhilda, żona króla Guntera, musza go moralnie (jako silniejszą kobietę) do zezwolenia na morderstwo człowieka, który najwierniejszym był przyjacielem Guntera, najwięcej miłości jego i wdzięczności godnym — Zygfrida. Małżonka zaś zamordowanego Zygfrida Brunhilda nieubłagana jest w zemście na jego mordercach... nie cofa się przed środkami, o których myśl sama dreszczem przerażenia napawa najokrutniejszych, najdzikszych mężczyzn, choćby króla Hunnów — Etzela (Attylę).

Krynihilda i Brunhilda to jednak wymysł sagi skandynawskiej tylko i postaci nieśmiertelne przez anonimowego autora w eposie, — prawdziwa natomiast historia zna przerażające i potworne, krew w żyłach mrozące dzieje bezlitosnej, przed niczem nie cofającej się walki dwu kobiet, które naprawdę istniały... walki, która zgrozą napawała najdzielniejszych, najokrutniejszych, w twardego boju zahartowanych mężczyzn.

Te dwie kobiety — to Brunhilda i Fredegonda, królowe Franków drugiej połowy VI wieku po Chrystusie. Walka między nimi trwała ponad pół wieku i zalała Francję potokami... nie... morzami krwi. Niektórzy z autorów średniowiecznych, nie mając żadnych zresztą wątpliwości co do autentyczności samej walki i dzieł jej przebiegu, — widzą w niej ucieleśnienie zmagania się we Francji dwu żywiołów: romańskiego i germańskiego. Ostatecznie zwyciężył żywioł romański.

Klotarjusz, najmłodszy syn znanego wszystkim z historii powszechnej Kłodwiga, pierwszego katolickiego króla Franków, — umierając w roku 561 podzielił kraj Franków między czterech synów. Jeden z tych synów niebawem umarł, i państwo ukształtowało się ostatecznie w formie trzech odrębnych królestw: Austrazji ze stolicą Metz na wschodzie, Neustrii z Paryżem na północy i zachodzie i Burgundji na południu i w centrum. Królem austrazjskim był najstarszy, najpotężniejszy, najdzielniejszy i najurodziwszy z synów Klotarjusza, Sygebert; Burgundją rządził rozumny, uczony i pobożny Guntram, Neustrią — najmłodszy, słaby ciałem i wolą, rozważnie nadzwyczaj życie prowadzący — Chilperyk.

W kilka lat po podziale kraju i po śmierci ojca Sygebert zaślubił piękną i olbrzymią a wypaniały pasaż przynoszącą — córkę króla Wizygotów z Hiszpanji, Atanagildę, Brunhildę. Chilperyk, zazdroszcząc bratu urodziwej żony i posagu, postanowił pójść w jego ślady i ożenił się z siostrą Brunhildy, młodszą — dziewczęcim jeszcze prawie — Gajswintą. Przed ślubem, obawiając się zgorszenia i skandalu, oddalił Chilperyk od dworu swą kochankę — piękną Fredegondę, — ta jednak, nie tyle z miłości do króla Neustrii, ile pragnąc usunąć tę, która pozbawiła ją przodku, choć nieoficjalnego — stanowiska w królestwie — powróciła niebawem do Paryża i zamordowała młodszą królową, urodą zaś i jakimś czarodziejskim niemal swym wpływem, jaki zawsze miała na Chilperyka — tak opętała słabego króla, że nie tylko jej nie ukarał, ale przeciwnie, kochankę swą i morderczynię żony wyniósł do godności królowej Neustrii, czem wywołał hunt biskupów i syna swego z poprzedniego, dawnego małżeństwa, Meroweusza.

Fredegonda potrafiła szybko pozbyć się pasiebra, na biskupów zaś zaczęła spadać coraz to dotkliwsze szkany i kary. Niebawem jednak dowiedziała się o tragicznej śmierci siostry Brunhildy, i ogarnęła ją żądza zemsty, do której dołączyła się typowa nienawiść jednej bardzo pięknej kobiety do drugiej — też bardzo, choć i w innym typie — pięknej. Brunhilda zażądała od Chilperyka wydania lub zgładzenia Fredegondy. Rozumie się, król Neustrii nie uczynił ani jednego, ani drugiego, — wtedy Brunhilda wezwała

męża swego Sygeberta, by pomścił śmierć jej siostry.

Dzielny Sygebert wkroczył wnet na czele wojsk do Neustrii, z łatwością rozbił wojska Chilperyka, które w trwodze pierzchyli i poszedł na Paryż, oznajmiając wszem dookoła, że odzie tylko zgładzić Fredegondę i ukarać, niezbyt surowo zresztą opętanego przez nią brata, względem ludności zaś neustrijskiej, nie żywi żadnych wrogich zamiarów. Witany entuzjastycznie przez Neustrijczyków zbliżył się do Paryża, pod którego bramami Chilperyk postanowił mu wydać jeszcze jedną bitwę. I znowu Sygebert zwyciężył z łatwością, panowie neustrijscy przeszli do jego obozu i obwołali go swym królem, Chilperyk ratował się ucieczką, — zwycięski jednak małżonek Brunhildy padł w chwili największego triumfu, skrytobójczo zamordowany.

Mordercami, których tuż nad ciałem Sygeberta rozszekano, okazali się dwaj młodzieńcy z Paryża, zakochani we Fredegondzie, których ona nawiązała na Sygeberta, obiecując im obu swą miłość, jeśli zostaną żywi, — po 100 mszy za duszę każdego, jeżeli zginą.

Stało się to w roku 575. Sytuacja wnet się zmieniła — wszystko przyjęło inny obrót. Pozbawione wodza, wojska austrazjskie wnet pierzchyli, neustrijskie wróciły do Chilperyka, Brunhildy — oplakując Sygeberta i palając nową żądzą zemsty, — ledwie ratowała się ucieczką wraz z niemowlęcym synem. Austrazja zaś poddać się musiała Chilperykowi, który byłby ją przyłączył do

Neustrii, gdyby nie energiczna interwencja brata Guntramma, króla Burgundji, który otoczył opieką swego małego synowca i nie pozwolił wydrzeć należnego mu dziedzictwa.

Przez lat kilka Chilperyk i Fredegonda byli najpotężniejszymi władcami Francji (Brunehilda bądź tułała się i kryła przed ich prześladowaniem, bądź na najdalszych wschodnich krańcach państwa Franków broniła się na czele nielicznych swych zwolenników przeciw śpiącym Fredegondzie), niebawem jednak postanowiła Fredegonda pozbyć się małżonka, który zawadzał jej w drodze do samodzielnych rządów, — co też rzeczywiście uczyniła w roku 584 przy pomocy jednego z dwórzan, swego kochanka, który zamordował Chilperyka w czasie kąpieli.

Rozpoczęły się rządy Fredegondy, Brunehilda zyskiwała coraz to nowych zwolenników i niebawem odzyskała napowrót Austrazję, której rządy objęła w zastępstwie małoletniego syna. Odtąd walka między dwiema pięknymi, a starzejącymi się już nieco kobietami toczy się ze zmianą szczęściem: gdy zwyciężała Fredegonda, płynęła strugami krew zwolenników Brunehildy i niewinnych ludzi, których podejrzewano, że byli jej sympatykami; gdy szala zwycięstwa przechylała się na stronę wdowy po Sygebercie — działo się odwrotnie — kraj jęczał, niszczone ogniem i mieczem.

W roku 593 umiera stary Guntram, nie pozostawiając potomka, a następcą swym na tronie Burgundji czyni Chilperberta, syna Sygeberta i Brunehildy. Chil-

perbert, dochodzący do pełnoletności, mając dosyć mordów i zniszczenia, których sprawczynią była jego matka — nie krył się wcale z zamiarami pozbawienia jej rządów w Austrazji. Kochająca nadewszystko władzę i nie zamierzająca przerwąć krwawej walki z Fredegondą, — Brunehilda postanawia pozbyć się syna i truje go (rok 596), obejmując w imieniu małoletnich wnuków rządy i nad Burgundją nietylko Austrazją. Potęga jej dochodzi do szczytu — Fredegonda, pokonana, opuszczona — nie ustaje jednak w walce, odnosi parę — nie wpływających zresztą na dalszy rozwój wypadków, ale opromieniających na chwilę znowu jej imię — zwycięstw, i urządza nagłe Brunehildzie najokrutniejszą niespodziankę, umierając naturalną śmiercią, niezwykłą — w roku 597 — przekazując obowiązki walki z Brunehildą swemu synowi, Klotarjuszowi II.

Brunehilda wpada w rozpacz na skutek niemożności ukarania i pastwienia się nieprzyjaciółki, toczy jednak dalszą walkę z Klotarjuszem. Gdy dorastają jej wnukowie, i starszy z nich Teodebert, król Austrazji, zaczyna okazywać zamiary uwolnienia się z pod opieki babki, — Brunehilda wznieca wojnę między wnukami, w której zwycięża młodszy, Teodoryk, król Burgundji, — Teodebert zaś ginie (613). Jest to jednak jej ostatni triumf. Klotarjusz II, syn Fredegondy, rozbił wojska Teodoryka, odbiera mu królestwo i życie, Brunehildę zaś bierze do niewoli. Prawnuka jej Sygeberta odsuwa Klotarjusz od tronu, 80-letnią zaś nieprzyjaciółkę swej matki skazuje na śmierć przez włączenie i rozerwanie kołmi, czem kończy długotrwałą potworną, jedną z najokrutniejszych w dziejach świata — walkę, którą prowadziły dwie piękne kobiety. (p. t.)

Wymiar sprawiedliwości na zamku w Suchej

W archiwum zamkowym w Suchej, zwanem „Braniciana“ znajduje się kilka grubych tomów staropolskich wyroków sądów wójtowskich na poddanych dóbr klucza suskiego. Wyroki te ze względu na formę i sposób wymiaru sprawiedliwości na różne przewinienia w porównaniu z obecnymi karami, stanowią ciekawy przyczynek do historii prawa karnego w Polsce przed jej rozbiorem.

W jednej z sal na parterze obecnego zamku odbywały się przez szereg wieków sądy wójtowskie, zaś w wieży i jej lochach były więzienia dla skazańców. Na każdą rozprawę stały sekretarz wzywał wójtów kilku gmin i ci razem sprawę rozstrzygali i wyrokowali. Wyroki sądu wójtowskiego potwierdzał każdorazowy właściciel dóbr klucza suskiego. Jak takie wyroki wyglądały?

Oto za kradzież serów, motyki i kociołka miedzianego po szafasach hal gminy Lachowic skazany został przez sąd wójtowski w Suchej niejaki Jakób Karcz wraz synami dn. 2 paźdź. 1699 r. z motywami: „lubo zasłużyli na szubienicę oskarżeni mają dać winę do kościoła w Krzeszowie 10 funtów wosku, siedzieć w kunie przez 3 niedziele, a zakuci w łańcuchach w czasie nabożeństwa, trzymając faskę z serami na szyjach... poszkodowanemu Chrzaszczowi winni zapłacić grzywien 12, zamkowi 10, sądowi 4. Z więzienia mają być niewypuszczeni, dopóki grzywien nie zapłacą. Gdyby u ojca lub syna Karczów czyn ten zły w przyszłości się powtórzył, przysięgli lachowscy mają go oddać do sądu w ręce kata na śmierć szubienicą bez wszelkiego sądu“.

Ciekawym jest wymiar sprawiedliwości przez sądy wójtowskie za prowadzenie życia niemoralnego.

Oto wyrokiem sądu suskiego z dn. 30 stycznia 1700 r. skazany został Wojciech Pajak, sołtys Lachowic za to, „że wiedząc, że służąca jego Agnieszka Starczalanka dopuszczała się grzechu cudzołóstwa, a nie dał znać sądowi, skazany został na 2 funty wosku do kościo-

ła krzeszowskiego, na 1 grzywnę pańską i 1 grzywnę sądowi wójtowskiemu“.

„Dziwkę zaś na 30 plag różgami i leżenie krzyżem w kościele przez 2 niedziele w czasie nabożeństwa“...

„Zaś żonatego J. Karcza za to, że zły żywot prowadził z dziewczką, wystąpił przeciw przykazaniu Bożemu na 6 funtów wosku do kościoła, 6 grzywien pańskich, 1 grzywnę sądowi, przez 6 niedziel leżeć krzyżem w kościele przez całe nabożeństwo i na 100 plag różgami. Z więzienia niema być wypuszczony dopóki nie zareczy dobrymi ludźmi, że będzie z żoną żył pocztwie“.

Ciężką też była kara za bijatyki i pijactwa w dnie zakazane.

Oto wyrokiem sądu wójtowskiego z dn. 21 maja 1721 r. skazany został wójt Lachowic Grzegorz Kral „za to, że z parobkami w ostatni dzień wtorek zapustów poszli do kurowskiej karczmy na pijatykę wbrew zamkowemu zakazowi i tam w zuchwałości czyniąc uszczerbek prowentowi pańskiemu mają zapłacić po 3 grzywnę pańskie, zaś wójt lachowski 30 grzywien i ma być z wójtostwa złożony“.

Niemniej surowo karano za napady rabunkowe. Oto w myśl wyroku z dn. 18 września 1752 r. skazano Józefa Chrzaszczę i Wawrzyńca Młyńskiego z Lachowic za to, „że upiwszy się na jarmarku w Wadowicach napadli na Szymona Pacholika w czasie wielkiego postu i obrabowali, skazani zostali na 100 plag, na pokutę leżenia w kościele w Krzeszowie krzyżem przez 3 niedziele i na zapłacenie po 3 funty wosku dla kościoła“.

Za napad, kradzież i ciężkie uszkodzenie ciała „dokonane na Augustynie Sikorze, zrabowanie mu z fury 2 sztuki przedzry, pobicie go kańczugą w głowę, ciężko go raniąc, skazany został Józef Wątroba i Mikołaj Lalik dn. 1 maja 1753 na 100 plag różgami, 15 grzywien dla zamku suskiego, 5 grzywien dla kościoła, po 2 grzywny za leczenie cyrulikowi i więzienie w kajdanach przez 2 tygodnie“.

Te staropolskie wyroki sądów wójt-

owskich zatwierdzone przez właścicieli dóbr, wykonywane w ich zamkach czy dworach za różne zbrodnie i występki poddanych temuż właścicielowi duchownych czy świeckich zrodziły demoniczną obawę i słowo „pańszczyzna“, którą wykorzystał rząd austriacki dla swych celów politycznych przez swych agentów Szelów w r. 1846 w czasie Rzezi galicyjskiej.

I dzisiaj jeszcze skrajni agitatorzy często w czasie wyborów, dla pozyskania sobie zwolenników straszą lud polski „pańszczyzną“ niezdając sprawy sobie z istotnego jego źródła pochodzenia.

Nie robocizna 2 dni do roku na rzecz „pana“ przez 50 morgowego „zagrodnika“ czy „zarebniaka“ były powodem strachu i obawy przed panem, ale wyroki sądowe wójtowskie jakie na ich dworach zapadały i bywały wykonywane.

Statystyka Anglii za r. 1932

Ogłoszona obecnie statystyka Anglii z Walją (bez Szkocji) ustala liczbę ludności na 40.201.000, z tego 19.280.000 mężczyzn i 20.921.000 kobiet. W r. 1931 cyfry te wynosiły: cała ludność 39.947.931, mężczyzn 19.138.847, kobiet 20.809.087.

Ilość urodzin zastrasza Anglików, gdyż osiągnęła rekord niskości. Cyfra 613.972 równa się 15.3 na 1000 mieszkańców — 0.5 poniżej dotychczas najniższej cyfry z r. 1931. Widzimy, że spadek jest systematyczny.

Zgonów wypada 12 na 1000 mieszkańców — 0.3 ponad r. 1931, ale 0.6 poniżej cyfry z r. 1930.

Na milion mieszkańców wypadło 1.510 skłonów z powodu raka (w r. 1931 — 1.484), a tylko 837 z powodu gruźlicy (cyfra bardzo niska!). Samobójstw było 143 na milion mieszkańców (w r. 1931 tylko 129). Automobile i motocykle wyprawiły na drugi świat 5.671 osób.